

M.
B. P.
Lodz

DZIŚ — WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Cena numeru 15 zł.

ROZCI BIJĄCO TYDZIEŃ

Rok II

25 maja 1947 r.

Nr. 22 (15)

W ZWIĄZKU Z POLITYKĄ ZAGRANICZNĄ BIAŁEGO DOMU



RYS. REGINA KAŃSKA

Biuro matrumaniałne

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

BYKI*

Kiedy już w czoła pocię,
na trupie Ribbentropa,
spotka się przy AMGOT-cie
znękana Europa,

zaczną się zastanawiać
BYKI i zaczną stanowiąc,
jak kulę ziemską zbawiać
i jak ją całkiem odnowić.

I zadrzą banki londyńskie
i zadrzą giełdy new-yorskie,
i chicagowskie świńskie
teny reformatorskie,

zatrzą się zęby New Deal'u,
wzdrągnie się Plan Beveridge'a...!
Po latach tyłu a tyłu,
po wielu rozgrywkach brydża,

BYKI z Wall Street i z City
powiedzą: „I dawniej i teraz
każdy z nas chce być syty
i robić dobry interes.”

A my...? „Zwarcu, silni, gotowi”,
czekajmy, aż BYK nam powie,
że „Kościuszkę, to był wariat,
co buntował proletariatu.”

* „Byk” — popularne amerykańskie określenie giełdźiarza — spekulanta.

STEFAN STEFAŃSKI

RÓŻNE NASZE DZIENNE SPRAWY

Odbił się niedawno w Warszawie wyścig samochodowy i motocyklowy. Jak, myślicie, arwizowano w prasie ów wyścig? „Pierwszy wyścig samochodowy i motocyklowy”? Nie. „Wiosenny wyścig samochodowy i motocyklowy”? Nie. „Warszawski wyścig samochodowy i motocyklowy”? Nie.

Ani konkurs, ani wyścig, ani bieg, lecz „Automobilści i motocykliści odbudowują Stolicę”.

Odbudowują? Hm, hm. Już pojmiam okoliczność, że w czasie wyścigu jakiś „Chevrolet” czy „Citroën” rozwalił latarnię. To drobność. Ale nie można przejść do porządku dziennego nad statystyką wypadków samochodowych i motocyklowych w Warszawie, ponieważ ze statystyki tej wynika, że automobyle i motocykle rozjeżdżają w Stolicy kilkadziesiąt osób miesięcznie. Trudno też nie wspomnieć o utyskiwaniach Warszawskich Miejskich Zakładów Komunikacyjnych, które skarżą się na to, że szoferzy tak ochoczo wpadają na tramwaje i autobusy, iż komunikacja tymi środkami przewozowymi może doznać b. poważnego szwanku.

Jakiż wniosek z tego wszystkiego? Ano, niech automobilści i motocykliści nie „odbudowują Stolicy”. Wystarczy — jeśli przestaną ją rujnować.

* * *

Ogromnie lubimy w Polsce — „obchodzić”. Ot, ileś tam dni temu obchodziliśmy, t. j. czciliśmy, świętowaliśmy — „Dzień Lasu” podobno bardzo się udało (dzieci w wieku szkolnym zasadziły w całym kraju n. liczbę młodych drzewek, wygłoszone mnóstwo pouczających prelekcji radiowych, napisano w prasie sporo budujących artykułów na temat ochrony t. zw. drzewostanu). Nie bardzo się natomiast udają dni następne.

18 maja obchodzili np. Weterani Powstań Śląskich 25-tą rocznicę Powstania Śląskiego. Śledzibę swego związku w Łodzi udekorowali pięknymi świerkami, pod pierwsze piętro.

Wobec powyższego w imieniu drzew leśnych zniszczonych i okaleczonych przez wojnę wzdychamy melancholijnie:

Ej, weterani, wy się źle bawicie, dla was jest obchód, nam chodzi o życie.

* * *

Niejaki Tata ze „Słowa Powszechnego” (nr. 54 z dn. 17. V b: r:) ubolewa, że nie ma w Polsce „segregacji”, „mięsa wytwornej elity”, „są tylko masy”.

Te masy — zdaniem Tata — zachowywały się nie wytwornie w czasie meczu tenisowego Anglia — Polska. Mianowicie oklaskiwały każdą zepsułą piłkę tenisistów angielskich, a szal radości ogarniał je „po każdej dobrej piłce” Hebby lub Skoneckiego.

„A bas — pisze Tata — z taką wytwornością przejawiającą się jedynie krojem kiecki i szerokością ramion w długiej marynarce”. Sapienti-Tat. „Wytwor-

ność przejawiająca się jedynie krojem kiecki i szerokością ramion w długiej (modnej) marynarce” zdradzą, niestety, nie „masy” (bardzo dziś kiepsko ubrane), ale akurat wysegregowana na czarnym rynku elita czytelników „Słowa Powszechnego” i „Gazety Ludowej”.

Swoją drogą należałoby — przynajmniej w sporcie — skończyć z fatalną megalomanią narodową.

Z doniesień naszej prasy sportowej wynika zawsze i nieodmiennie, że byczo jest, że krzepa, że tężyzna, że wspaniała nasza postać, a tymczasem: ani krzepa, ani tężyzna, a postać zasadzle — mizerna. Klapa w meczu tenisowym z Anglią, niebardzo, z piłką nożną (jeśli chodzi o wystąpienia międzynarodowe), a co do okrzykanego boksu to dość przykro „nasi” dostali w D(ublinie).

Skutki wojny? Zapewne. Przejściowe niepowodzenia? Być może. Pech? Tego zdania są zaw-

sze nasi sprawozdawcy sportowi. Szkoda, że nikt nie zwraca uwagi na: mierz siły na ziemiary”.

* * *

W jednym z ostatnich numerów „Nowin Literackich” kronikarz tygodniowy, St. Ryszard Dobrowolski, zabrał głos w sprawie gospodarki tak cennym dziś, a marnotrawionym papierem. Głos alarmujący, pełen niepokoju o los kultury polskiej, głos, który powinien „pójść pod niebiosa”.

W ostatnim numerze „Przekroju” odezwał się na ten sam temat Jerzy Zagórski w artykule p. t. „Tydzień Książki czyli Tydzień Papieru”. Znowuż głos, brzmiący szczerą troską i nastawiony na ton St. R. Dobrowolskiego.

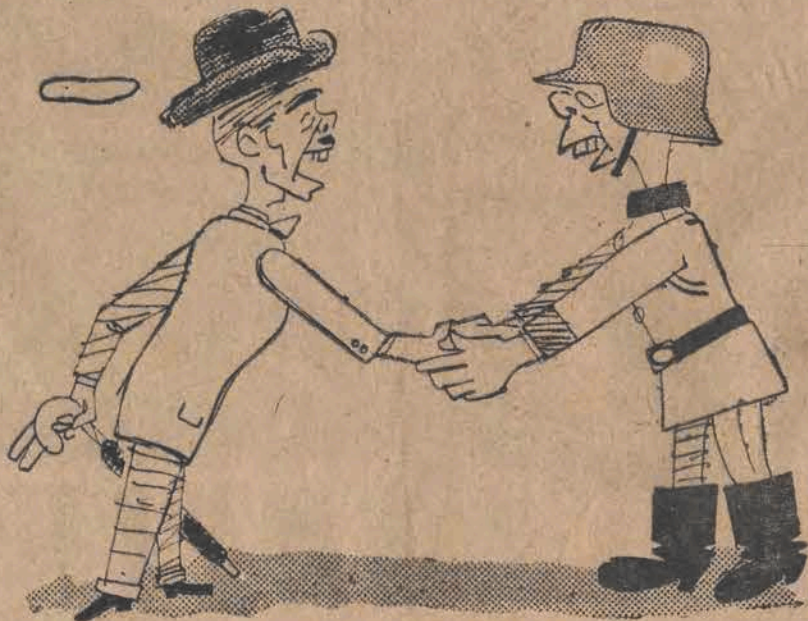
Do obu powyższych odpowiedzi dołącza się jakiś anonimowy Wun z „Tygodnika Powszechnego” (Nr. 20/113). Jest to już, niestety, tylko głos wołający cęgo na Rynku Głównym w Krakowie: „Kupujcie organ Kurii Xiążęco-Metropolitalnej Krakowskiej...”

Metropolitalny mandaryn Wun, przypomniałszy, iż do jego własnych prac wystarczy doprawdy papier higieniczny, a nie gazetowy — czepia się rozmaitych wydawnictw. Między innymi — „Różę” (że „niedowcipne”) i „Muchy” (że „wznawiona”).

„Czyż już nie można było — (pisze pod adresem „Muchy”) — wskrzesić czegoś bardziej wartościowego?”

Pewnie, że można. Wun z „białą” „Muchą”! Wskrzesić „Złotą Muchę” i przedwojenna „Szarżę”! To ci dopiero pisma prawdziwie dowcipne. Wun, który w onym czasie chodził, oczywiście, w dekle, był ich „humorem” diabło zachwycony. Dziś również gotów byłby stwierdzić, że służą one „kulturze polskiej”, są przedmiotem „głodu czytelniczego” i „najszlachetniejszego w szerokich masach pędu ku rozwojowi i oświeceniu”.

MIN. EDEN ATAKUJE ZACHODNIĄ GRANICĘ POLSKI



Rys. Karol Baraniecki

Iden - tyczne stanowisko

JAN HUSZCZA

Mowa pogrzebowa

Naczelnik Kuć wrócił do domu jak to się w pewnych kołach mówi na rzesach. Wziął konewkę i szczydrze podlał, myśląc zapewne, z geraniami główki swoich rodzonych dziątek. Pokonując duże trudności techniczne wyrzucił za okno fortepian. Choć to było lato, porąbał na drwa kredens i wreszcie zmęczony wysiłkiem, zachrapał, słodko uśmiechając się przez sen.

Nie zbudził się jednak ani we wtorek, to jest nazajutrz, ani we środę i czwartek.

W piątek zaniepokojona małżonka postanowiła uznać go za normalną powłokę cielesną, z której uleciał duch.

Przeło najbliższa rodzina oraz podwładni (zadowoleni na ogół z obrotu sprawy, gdyż naczelnik nie należał do ludzi sympatycznych) zatroszczyli się o zorganizowanie pogrzebu.

I oto jeszcze tego samego dnia tłumienka z naczelnikiem Kuciem stała w wrytej głębokiej jamie, na piaszczystym brzegu tej jamy zlepiły się wieńce z odpowiednio uroczystymi dedykacjami, ktoś jak gdyby szlochał, słoneczko świeciło poprzez liście klonów, w błękicie dzwoniły ptaki, wszyscy tłoczyli się z niecierpliwością, oczekując końca obrzędu.

Lecz przed tym należało wystąpić tradycyjnym przemówieniem, z ich treści niezłomie wynikało, o jakiego to wspaniałego człowieka, ofiarnego obywatela, kochającego ojca i meza został świat zubożony! Wreszcie wszystko wskazywało

na to, że czas chwycić za rydło. Ale z ciżby wymanewrował się łokciami podwładny Kijanka. Stał nad dołem i zawołał:

— Nie zasypujcie! Jeszcze ja chcę wygłosić mowę pożegnalną...

Choć Kijanka nie był przewidziany w programie, nie wypadło protestować. „Niech mówi”, rozległy się przyzwalające głosy.

— No, panie naczelniku — zaczął przejęty Kijanka — oto jedyna okazja, żebym w twojej obecności, ja, podwładny, mógł powiedzieć, co o tobie naprawdę myślę... Łajdakiem byłeś wyjątkowym (wdowa jęknęła „Och”, ktoś chciał się oburzyć, ale na ogół słuchano z zaciekawieniem...) Łapówczkami nie gardziłeś nigdy! Usłużny wobec przełożonych, wobec podporządkowanych tobie urzędników byłeś twar-

dy, zły, mściwy i bezwzględny...

Znaczna część słuchaczy zaczęła Kijance potakiwać, inni zachowywali się obojętnie, nieliczni patrzyli z oburzeniem, gorsząc się tym, że znalazł się oto ktoś, kto śmiało odhległ od ust naczelnika z dawien dawna zwyczajną chwaleni każdego nieboszczyka.

W miarę mówienia, Kijanka zaczął się unosić:

— Ty opoju, ty świni! Schlałeś się i oto taki twój koniec...

— Wcale nie koniec! — doleciał do wszystkich uszu szydery głos z trumny. Wieko się podniosło i wysunął głowę naczelnik Kuć: — Widocznie zbyt długo spałem! Piwa dajcie!...

Przez chwilę panował zrozumiały popłoch, potem jednak rozległy się szmery zdławionej radości. Nie-

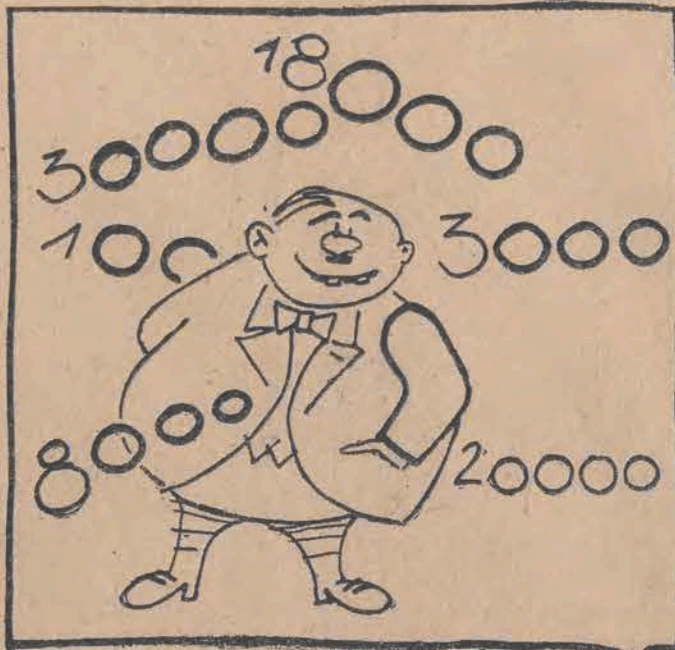
którzy usłuzni, podskoczyli, aby pomóc Kuciu wstać. Jedyne Kijanka przypominał człowieka tkniętego paraliżem. Wcale mu się, zresztą nie należy dziwić.

Kuć tymczasem wygramolił się na brzeg, strzepnął piasek z marynarki, zapalił podsumiętego przez najbliższych urzędników papierosa i zawołał do struchlałego mówcy:

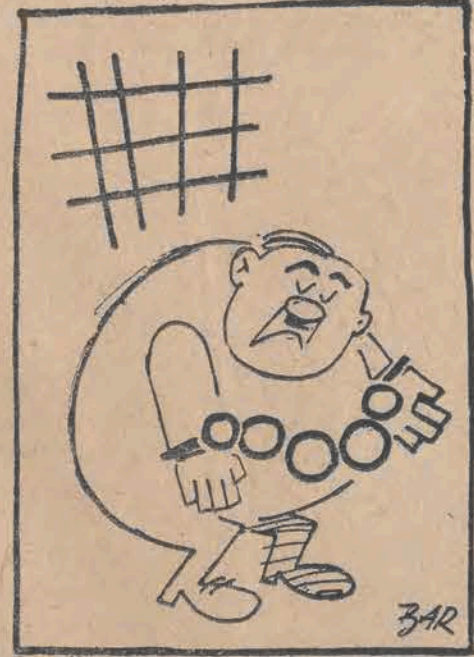
— Już ja ci, Kijanka, pokażę!...

Sądząc z poprzedniej charakterystyki do mniemanego nieboszczyka, skłonni jesteśmy uwierzyć w obietnice.

Mając na względzie powyższe opowiedziane wydarzenie, odradzamy wszelkie próby zmierzające do przełamania tradycyjných zwyczajów: de mortuis na przykład, aut bene aut nihil!



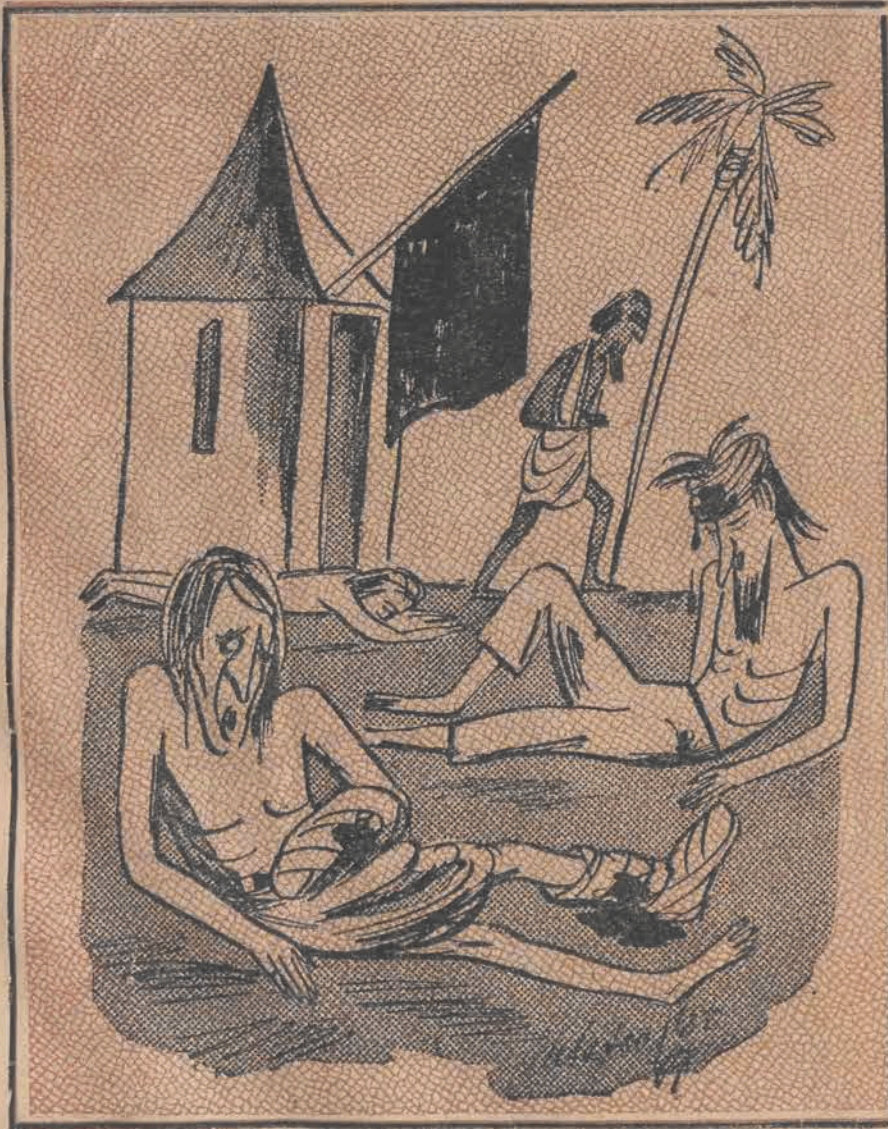
Rysunek bez podpisu



Rys. Karol Baraniecki

LUDWIK JERZY KERN

PO KRWAWYM STŁUMIENIU POWSTANIA WE FRANCUSKICH INDOCHINACH



Rys. Tadeusz Ulatowski

Crepe de (Indo) chine

PODSKAKIEWICZE

Na nic się zdąży satyry bicze,
na nic pisanie żółcią i krwią
Znowu, jak dawniej, podskakiewiczze
z wdziękiem i wprawą karki swe gną.

Znów są pochlebstwa na wąskich ustach,
uśmiechy à la Charles Boyer —
Znów słowa z zewnątrz, a wewnątrz pustka
i wazelina pour epatér...

Znowu w urzędach codziennie ćwiczą,
w bankach, w kantorach, w zakątkach biur,
całe szwadrony podskakiewiczów,
przebrzmiałe czasy biorąc za wzór.

Nie widzą tego, że wkoło inni,
dumnie i pewnie patrzą na świat,
počas gdy oni wrednie uczynni
ukłon forsują z minionych lat.

Trzeba nie trzeba, spocone dłonie
ściskają komu tylko się da —
I tak, jak trwali, trwają w ukłonie
i ukłon także, jak trwał, tak trwa.

Więc z tej okazji, podskakiewiczze,
którzy życie po Polsce gdzieś,
choć się nie liczą z nikim i z niczym,
WAM NIEŚMIERTELNYM CZĘŚĆ!

W J O S N A

Tekst i rysunki Kazimierza Grusa



1. Śmieją się do nas przemle bratki.

2. Z piaseczka wytykają łebki smaczne szparagi.

3. Serca radują krosne tulipany.

4. a niebawem poczną dojrzewać owoce wliczej jagody.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

JAK PISAĆ WIERSZE W OBCYCH JĘZYKACH

Napisanie wiersza w języku polskim nie jest ostatecznie taką wielką sztuką. Trochę znajomości poezji, podpatrzenia pewnych chwytów, ćwiczenia i od biedy nawet bez tak zwanej iskry bożej da się spisać arcydzieło, które jeśli nie dostąpi zaszczytu figurowania na szpaltach pisma, może być jednak użytkowane w pewnych uroczystościach rodzinnych, na imieninach tej czy innej ciótki, w sztambuchu jakiejś pensjonarki, w spiczach przy toastach lub w najgorszym razie w zakładach użyteczności publicznej ku ozdobie ścian. Ale napisać w języku obcym to rzecz poważniejsza. Próbowali tego mniej lub więcej szczęśliwie różni poeci, od Krasińskiego do Brzękowskiego, są to na ogół wypadki rzadkie. A jednak z pewnością niejednego parającego się tymem męża czy niewiastę kusila ta ewentualność. Być Polakiem i woryć nie tylko po polsku, ale i po włosku, po francusku, po angielsku, po alemiecku i w egzotycznych językach — to pokusa nie lada.

Zastanówmy się nad możliwościami tego rodzaju twórczości. Oczywiście znajomość, przynajmniej prymitywna, języka obcego jest konieczna. Zwłaszcza jego eufonii: jakiego rodzaju samogłoski i spółgłoski i w jakich połączeniach są danej mowie właściwe.

Weźmy na przykład język francuski: nawet laik wie, że tam mnóstwo brzmień nosowych. Albo włoski: spółgłoski podwójne nn, ll, rr, miękkie ũ itd. A japoński — już z samej lektury gazet wie się, że tam przeważają sylaby otwarte, jak w wyrazie mikado czy Jekohama. Te spostrzeżenia są bardzo pomocne. A jeśli zna się kilka wyrazów w tych językach, przy odrobinie inwencji można próbować szczęścia.

Oto krótki, lecz jakżeż wymowny w swej namiętności i rozpaczliwej erotyce francuski: „O, cotrain”:

O, cotrain, je m'embouille,
taquinlosse, comme ou jalle,
o, cotrain, palisoule,
o, madame, coulou vallet

Il est trosque, il est bouge,
à ma crève qui pis vrot.
O, madame, o, tonouche,
o, madame, o tombrain!

Gdy pokazałem ten wiersz pewnej nauczycielce języka francuskiego, jako że niby go nie bardzo rozumiem i prosiłem o przetłumaczenie, zaczęła dowodzić, że to przepisane ze strasznych błędami i wyrazy są poprzekrecone. Dopiero po trzykrotnym odczytaniu odkryła tajemnicę. Wiersz tłumaczył się bardzo prosto: Oko trę, że mam ból. Tak! los! Komu żal? Oko trę, pali sól. O, madame, kulą wali! Ile trosk, ile burz, a ma krew kipi, wre. O, madame! Oto nóż. O, madame! Oto mę.

Zachęcony powodzeniem w języku francuskim, zabrałem się do wiersza włoskiego. Okazało się, że to również nie tak znów wielka filozofia. Powstał utwór pełen melancholii, który od biedy dalaoby się zaśpiewać przy akompaniamencie gitary pod jakimś romantycznym balkonem:

Isa bella macia varghi,
isa bella, vinco spia,
isa belle drencio scarghi,
a ciascoza mia, mia.

Boda remna ocu venda,
cfari renchj i collana,
boni Como toponenta,
isa bella pie sama.

Gli cozurri tusie crenzo
bona sera conschi licio
isa belle troschi mencio,
poszo Como me oblicie.

Guro monna luna croci,
ghigne senna ida leca,
isa bella varghi moci
ida remgne cieca, cieca.

A oto odpowiednik tego wiersza w języku polskim. Mowa o udrecie samotności przeżywanej przez smutną Izabelę: Izabela macza wargi, Izabela

winko spija, Izabelę dręczą skargi, a czas mija, mija, mija. Bo daremna oczu wędą, czary ręki i kolana, bo nikomu ta ponęta: Izabela pije sama. Li kocury tu się kręcą, bo na sera kaski liczą, Izabelę troski męczą: po co, komu me oblicze? Górą monna luna kroczy, ginie senna i daleka, Izabela wargi moczy i daremnie czeka, czeka.

Dumny, że wszedłem już do literatury francuskiej i włoskiej, niewiele myśląc zabrałem się do japońszczyzny. Tak powstał wiersz rodzajowy „Japonia”, który, niestety z braku odpowiednich źródeł oddaję w transkrypcji polskiej:

Fudzjama i lasy
Hokusai paleta,
Josiwary golasy,
Samuraja kaleta.

Miga noga mi naoca,
opalone kolano,
taka w oku powaga
ole dama zalana.

Bo ta dama kokota,
ma kimono bogate,
kolorową ma szatę
i mikado omota.

Dziu-dzitsu. Posoka.
Sake. Gojsza. To raj
O, Niponu uroki!
Harakiri! Banzaj!

Sądze, że napisanie wiersza w języku angielskim, niemieckim, hiszpańskim czy nawet muryńskim kłucheli nie nastęrczałoby również większych trudności.

K. A. JAWORSKI.

B. MIN. HITLEROWSKI SCHACHT ZOSTAŁ SKAZANY NA 8 LAT OBOZU PRACY



Rys. Tadeusz Ulatowski

SCHACHT — MAT

Podczas swego pobytu w Hollywood Einstein został zaproszony do Mary Pickford.

— Kto to jest właściwie ta Mary Pickford — spytał jednego z gości.

Zapytany z trudem wstrzymując śmiech, udzielił mu informacji, po czym

powtórzył słynnej aktorce przebieg rozmowy z wielkim uczonym.

Mary Pickford potrząsnęła z politowaniem głową.

— Nie, doprawdy, ci ministrowie hitlerowscy, gdy tylko nie chodzi o politykę, nie mają o niczym pojęcia!..

TRISTAN BERNARD

Szpilka

Pan Barfix uchodził za jednego z najzdolniejszych kupców Paryża. Był bardzo przedsiębiorczy, szybko liczył i umiał obchodzić się z ludźmi.

— Musisz koniecznie dostać się na posadę sekretarza do Barfixa — rzekł do mnie pewnego dnia mój wuj Eugeniusz, któremu moja przyszłość bardzo leżała na sercu.

Z listem polecającym w kieszeni, udałem się wkrótce potem do wielkiego potentatu. Jego biura mieściły się w małym pałacu niedaleko Opery, okna ich wychodziły na duże podwórze.

W przedpokoju czekało pięć, sześć osób. Pan Barfix miał dla każdego interesanta trzy minuty czasu. Jako zwyczajny, niczym w oko nie wpadający petent, zostałem po jakimś kwadransie wpuszczony do gabinetu szefa. Ogarnęła mnie natychmiast straszliwa trema, którą tylko z trudem zdołałem opanować. Aczkolwiek pan Barfix liczył dopiero około czterdziestu lat, miał już prawie siwe włosy. Ze swymi na jeża przystrzyżonymi włosami wyglądał trochę na fox-teriera.

Pan Barfix przeczytał mój list polecający i obserwował mnie przez parę minut uważnie przez swe okulary.

— Jeszcze się zastanowię — oświadczył. — Chwilowo nie ma tu u mnie wolnej posady, w każdym razie zawiadomię pana...

Odprowadził mnie do drzwi, a ponieważ w przedpokoju nikt więcej nie czekał, pan Barfix przystąpił do okna.

Zeszedłem ze schodów, nic innego nie zabierając ze sobą, jak tę wymijającą odpowiedź. W gruncie rzeczy, niewiele sobie z tego robiłem i byłem w końcu zadowolony, że całą tę niemłą historię mam za sobą. Ale co mój wuj powie? Z pewnością przypisze mi całą winę! Wolałbym już przynieść ze sobą jakąś wyraźniejszą decyzję, przynajmniej coś w rodzaju przyrzeczenia.

W tej chwili przypomniałem sobie powiastkę Alfonsa Allaisa, w której pewien młody bezrobotny człowiek ściąga na siebie uwagę bankiera tym, że podnosi z ziemi szpilkę.

W INTERPRETACJI SPEKULANTÓW



Owszem — pomyślałem — to może się przydać, a ostatnie nic nie ryzykuję. Przypadkowo miałem w kłapie surduta szpilkę. Wyciągnąłem ją, wziąłem do prawej ręki, a doszedłszy do środka podwórza schyliłem się — udając, że ją podnoszę...

Efekt tego proceduru nie dał długo na siebie czekać. Nagle słyszę za sobą swoje nazwisko:

— Halo! Młody człowiek!...
— Bardzo proszę?
— Proszę jeszcze raz pozwolić na górę — zabrzmiał głos pana Barfixa.

Pełen nadziei pędzę schodami w górę. Pan Barfix stoi w drzwiach.

— To pan właśnie podniósł na podwórzu szpilkę z ziemi?

— Tak jest — odpowiedziałem pewny siebie. — Nie mogę znieść poniewierającej się drobnostki...

— Jest to wcale piękna zaleta — przerwał pan Barfix. — Zawołałem pana z powrotem — dodał — by udzielić panu ostatniej odpowiedzi. Proszę nie liczyć na posadę u mnie. Nie mogę pana angażować na sekretarza, bo nie uważam pana za odpowiednią siłę.

— Ależ... dlaczego?!

— Bo widziałem właśnie, że

KALIKST ŁASICZKA

Majowe doniesienie z prowincji

(Ze spuścizny poetyckiej)

Ach, jak bardzo nastrojowa
jest ta wiejska noc majowa!!!

Pachnie mięta, bez odurza,
kwitnie w sadzie dzika róża,

zaś nad rzeką szmer wikliny
pogodzony z szumem trzciny —

ale obok prawie proza,
choć niezwykła nawet poza:

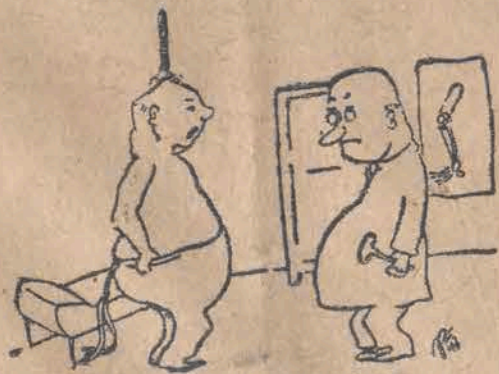
trwa w poświęceniu księżycowej
srebrne udo burmistrzowej;

burmistrz bawi gdzieś w podróży,
więc małżonce czas się dłuży...

no, i komuś udem błyska,
lecz nie zdradzę wam nazwiska!

Jest pan zbyt małostkowy, zbyt poważnych, na dużą skalę zakro-
skapy, zbyt zajęty drobnostkami. Jonych transakcji...
Ktoś, kto ma podobne właściwo-
ści, nie może nigdy podejmować

Tłum. H. S.



— Przede wszystkim musi się pan
wstrzeżać wszelkich wzruszeń.

— Chętnie, panie doktorze. A może
uwzględni to pan przy wystawianiu
rachunku?



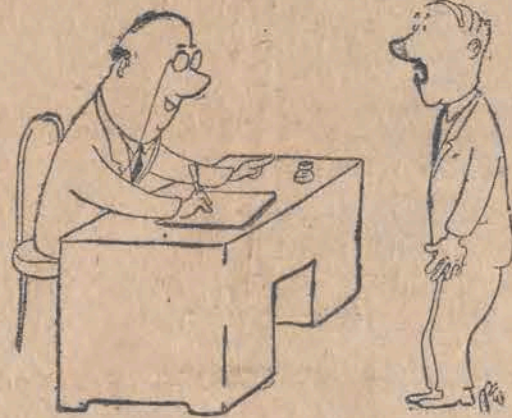
— Ta gęś, którą u pana kupiłam,
jest bardzo stara.

— Po czym pani poznała?

— Po zębach...

— Jaki? Przecież gęś nie ma zę-
bów!

— Ale ja mam!



Rys. Janusz Zorebs

— Panie mecenasie, Zupski nazwał
mnie starym idiotą, sądząc, że postąpił
karygodnie?

— Naturalnie przecież pan liczy do-
piero 30 lat.



Wampir

Małżeństwo nie jest złe, od czasu do czasu można więc, panowie żenić się. Potrzebny jest do tego ślub cywilny i cywilna odwaga. Strój, oczywiście, spacerowy, niby że tak en passant, wstąpiło się w związek małżeński. Należy jednak pamiętać, że z kim sobie pościelesz — z tym się wyśpisz”.

Najgorszym typem żony jest „wampir” filmowy, nie żadna Mae West, tylko zwykłe wampirzydło, które wysysa z człowieka jego siłę żywotną. Nieraz zapytujemy siebie, jak to się dzieje, że jakieś indywiduum męskie, przed ślubem, tegie, zdrowe i pełne zapału do życia, zaczyna po kilku latach małżeństwa wyglądać jak balonik, z którego pomału wychodzi powietrze, wiotczeje, kłęśnie, łysieje i zaczyna znikać z wielkiego półmiska życia, jak suflet. Wina tego tkwi wyłącznie i jedynie w połączeniu się z kobietą — wampirem. Czy nie zdarzyło wam się siedzieć w towarzystwie z piękną kobietą, która tym co mówi, i aurą, którą wydziela, zaczyna was tak fizycznie osłabiać, że po godzinie siedzenia w jej towarzystwie ścieracie pot kroplisty z czoła i chwiejnym krokiem, czepiając się po drodze przydrożnych krzeseł, dążycie do bufetu, oże by się wzmacnić i czymś pokrzepić?

Owa kobieta mówi w ten sposób:

— Dla mnie jedynym ważnym meblem jest wanna...

W tym momencie przypomni ci się wierszyk Fredry: „Małpa w kąpielu”, uśmiechasz się więc i słuchasz dalej.

— Można powiedzieć, że ja w wannie mieszkam, poprostu, gdy wychodzę, to tylko po to, ażeby pójść pływać na basen...

— To kiedyż w takim razie pani jada?

Uśmiech perłowy i dalszy ciąg:

— Ja kocham jeść! Jem, gdy na chwilę wyskoczę z łazienki. Lubię proste jedzenie, surową polewicę, pomarańcze, sałatę...

To jest ciekawe, na przykład, ale nie znoszę mącznych potraw, za to czekoladą można mnie kupić, a cukierków znów nie lubię...

— A kiedy pani sypia? — ciągniesz swój przymusowy wywiad już zlekka zmęczonym głosem.

— Ja jestem jak kot, syplam gdzie bądź, na czym bądź, mogłabym zasnąć nawet na czyichś kolanach, zwiżam się w kłębuszek i tylko takie olbrzymie rzęsy sterczą z tego kłębuszka i burzą jasnych włosów (w tym miejscu polrzęsa czupryną, ażeby to zademonstrować i znów zniewalający uśmiech perłowy). Powinnam było, prawda, zostać artystką filmową, ale gdzież u nas w domu na taką rzecz byliby pozwolili, a trzeba było widzieć, jaką ja byłam cudną dziewczynką, smarkula taka, a wszyscy się już za mną oglądali, na ulicy. Matka to mi nieraz dawała po łapach za to, że je-

stem taka śliczna. „Jak będziesz tak wyglądać — mówiła — to nie przejdiesz spokojnie przez życie”.

A tu te oczy, jak gwiazdy, ta twarzyczka małej cyganki... te nóżki!”

Wyczerpany, znękany, chcesz odejść ratować jeszcze resztkę twych sił żywotnych, ale wampir chwyta cię za rękę:

— Jeszcze panu opowiem, jak to chcieli gwałtem zaangażować mnie do teatru, dwóch dyrektorów rozbijało się o mnie...

— No, i co? Czy rozbili się? — pytasz już nieprzytomnie.

— I jak jeszcze, jeden chciał się gwałtem ze mną żenić, drugi też, a ja głuptas, coż pan chce, siedemnaście lat, zamiast z tego skorzystać, to zapisałam się do sekcji wioślarskiej. Rozumie pan: woda! Mój żywioł „Ryba” wołał na mnie w domu...

Jak to się dzieje, że tego rodzaju wampiry wychodzą jednak zamąż i to nieraz kilkakrotnie, wytłumaczyć można tylko tym, że mężczyzna w ich towarzystwie tak słabnie i zatracą wolę że robi to, co wampir zapragnie. Jeśli się w porę nie rozwidzie, to umiera „na samobójstwo” albo naturalną śmier-

cią na zanik ciałek czerwonych lub anemię mózgu. Ci, co się ze szponów wampira wyrwali, a chcą się jeszcze raz ożenić, dają do gazet pod rubryką „matrimonialne” następujące ogłoszenie: „Rozwiedziony nie z własnej winy, poślubi dla wspólnego dobra istotę cichą, skromną i małomówną, może być nawet, bogatą i nieładną”.

Mężczyzn wampirów spotyka się również, chociaż o wiele rzadziej. Są to zwykle profesorowie lub literaci, ludzie uczeni i światli, którzy wykładają, najczęściej o sobie, o swoich poczynaniach i pracach, albo o atomie i penicylinie, ale to tylko w pociągu.

Napięcie myśli, ażeby zapamiętać, co było na początku sprawa to, że po pewnym czasie słabniemy i musimy zażywać proszek na ból głowy. Wampiry, zważcie, wyglądają zawsze zdrowo i kwitnąco, nie szkodzą im picie i palenie. Coż to dziwne? Karmią się nami, zbierają jak pszczołka sok z kwiatów, nasze soki żywotnej siły. Wampir zamknięty w sobie, odosobniony załamuje się i kończy się szybciej od innych ludzi. Nie ma bowiem do kogo gadać...

Magdalena Samozwaniec

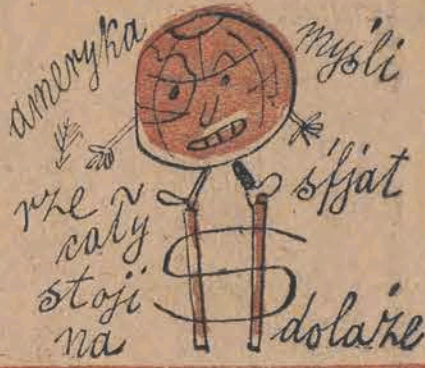
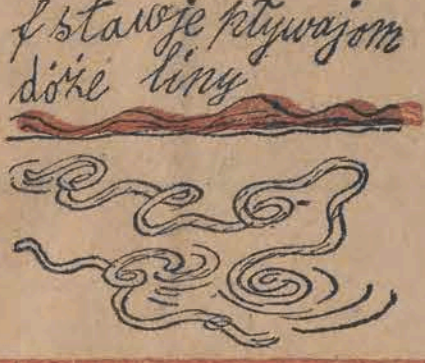
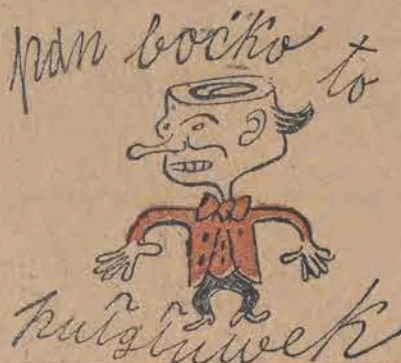
ski. Ponieważ pierwsza namiętność mi przeszła, muszę chociaż ocalić drugą.

Crebillon starszy zapytany, które ze swoich dzieł uważa za najlepsze, odparł:

— To jest mi trudno określić, wiem tylko, które moje dzieło jest najgorsze — przy tym wskazał na swego syna, którego nie cierpiał, gdyż pisał on dość miernie powieściadła:

Syn dorzucił:

— To też sądzą niektórzy, że to nie wasze dzieło.



Z zeszytu małego Kazia

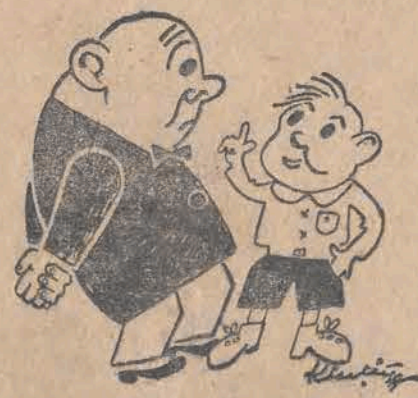
Rys. Kazimierz Głus



— Wacusi, połóż ojcu gorącą butelkę w nogi, bo się przeziębili



— Szef mi dał do zrozumienia, że ja nic nie rozumiem!
— I tyś to zrozumiał?



— Nauczyciel pięć razy mnie dzisiaj wyrwał!
— Z historii?
— Nie, z drzemki...

Rys. Zbigniew Kiulin



MIEDZY NAMI

MIEDZY NAMI.

„Bol. H. S.” (Wałbrzych). Nadesiał pan następujący wierszyk:

Dziadunio jest idiota, trzęsący się, siwawy, troszeczkę nie dowiźli i przy tym jest głuchawy.

Babunia jest kretynka, wlecznie kaszląca, sucha,

też trochę nie dowiźli i też jest trochę głucha.

A wnuczek jest poeta i pisze wiersze gładko

i przy pisanu, jucha, eksploatuje dziadków.

Bo jak ma trzeba rymów do swolch poematów,

to idzie do staruszków i mówi na temat ów:

— Dziadkowie dziś was kazal pozdrowić ksiądz kanonik!

— Wazonik? — pyta dziadek.

A babunia: co, fikonik?

Wnuczek stwierdza: babunia głucha i dziadunio też nie słyszy!

— Od jakich towarzyszy? — Kto mówiś łowi myszy?

A wnuczek uśmiechnięty: musicie lepiej słuchać!

— Dmuchać dziadunio woła. A babunia: my i gruchać!

— Jesteście pożyteczni. Dziękuję wam za rymy.

— Ręczymy! — krzyczy dziadek.

A babunia: wywietrzymy!

I dziwić się poecie, że tak rymuje gładko.

To nie jest żadna sztuka, gdy ktoś ma głuchych dziadków.

Nie dziwimy się, p. Bol. H. S., że pan tak rymuje gładko, prosimy natomiast na przyszłość nie eksploatować talentów dziadków.

Rysunek p. t. „U lekarza” wymaga kuracji graficznej

„Grafoman” (Olsztyn). Robi pan postępy. Dowodzi tego frazka np.: „na pewno ginekolog”:

Ten sobie baby wielce upodobał: łyżkami je jada, tyżeczkami skrobał.

Również — „Nagrobek malkontenta”: Poszukiwaczem był wytrwałym,

bo, stale szukał dziury w całym.

I znalazł wreszcie: na trzy metry długą. To było jedyną jego zastęgą.

„Nr 31” (Łódź). Prosi pan o „doradę czy warto pracować nad sobą”. Warto. Lecz nie w kierunku takich frazerek jak „Kobieta a wino”:

Kobieta tak jak wino, odurza, podnieca, często lekarz wraz z winem kobietę

zoleca.

Tylko wino im starsze, to bardziej smakuje,

a kobieta im starsza tylko życie truje.

„Warszawianki i Warszawiaczy” (naturalnie Warszawa). Jak zauważyliście, uwagi wasze wzięliśmy do serca. Ponadto wierzymy Wam na słowo, że „nie wszyscy kapią się w ochydzie, zgniliznie i brudzie”. Zwłaszcza w ochydzie.

Karol Wiśniewski, Zygmunt Olszak (Poznań), H. B., „Nelly”, M. Komorowska, „Atylla” (Warszawa), F. Perla, Antoni Rudnicki (Kraków), Alina S. (Gdańsk), Zofia Kroboska (Szczecin) — nie skorzystamy.

Listy do redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! W związku z oszczerczym wystąpieniem ob. Mariana Piechala, jakie miało miejsce w „Różgach” z dnia 4.5.1947 r., zawiadamiam, iż sprawę skierowałem do Sądu Koleżeńskiego przy Oddziale Zw. Zaw. Literatów Polskich w Skromnej Miłosnej.

Jan Huszcza

Skromna Miłosna, 6.5.1947 r.

**

Bassompierre, poseł francuski na dworze hiszpańskim, zdając Henrykowi IV sprawozdanie ze swego pobytu w Madrycie powiedział między innymi:

— W czasie defilady jechałem na najmniejszym mule.

— To musiało wyglądać dość śmiesznie — zauważył król — największy osioł na najmniejszym mule...

Posel odrzekł skromnie:

— Ja byłem tylko przedstawicielem Jego Królewskiej Mości.

Wieczorowa pora Melodramat

Akt 1.

Trzecie piętro, mieszkanie państwa Kowalskich.

Pan Kowalski: — Cóż to szantrapa nad nami wyprawiał! Tańczy! Słyszysz Melu, sufit trzęsie się, aż tynek na głowę leci. Stoncał! (Patrzy na zegarek). No, proszę, wpół do jedenastej. Któż to widział w nocy takie hałasy wyprawiać!

Pani Kowalska: — Czy mówiesz do mnie, mężusiu?

Pan K.: — Przycisz-no trochę radio, bo nic nie słychać, o... tak. Mówiłem właśnie, że ta tancerka z czwartego piętra skacze i hałasuje, aż cały sufit się trzęsie, o, widzisz?...

Pani K.: — Właśnie, nawet człowiek wieczorem spokojnie radia posłuchać nie może.

Pan K.: — Właśnie.
Pani K.: — Zaraz ją uspokoję. (Przynosi z kuchni miotłę, wchodzi na krzesło i stuka kijem w sufit).

Akt 2.

Drugie piętro, mieszkanie pani Cynadkiewiczowej, śpiewaczki koloraturowej.

Pani Cynadkiewiczowa: — Doremifasol, lasidooooo... dosimilosoitamiredooo... Doremifa, nie, to już doprawdy skandal! Ten Kowalski myśli pewnie, że on sam w kamienicy mieszka i puszcza swoje radio na cały regulator! Człowiek nawet spokojnie pracować nie może! O, ryczy, że aż ściany drżą! Zaraz tym Kowalskim pokażę... (Przynosi z kuchni miotłę, wchodzi na krzesło i stuka kijem w sufit).

Akt 3.

Pierwsze piętro, mieszkanie państwa Kapuścińskich.

— Uuuuuuuuu, ja nie chcę kaszki, ja chcę się bawić! Uuuu!..
Pani Kapuścińska: — No, to baw się syneczku, baw, Mamusia zaraz przyniesie zabaweczki synusieczkowi.

Maly Kazio: (Stara się zniszczyć bębenek przy pomocy trąbki, a potem odwrotnie. Następnie skacze ze stołu z parasolem przy akompaniamencie dzikich wszaków, potrąca, jąc przypadkowo dzbanek z mlekiem, który także spada ze stołu).

Pan Kapuściński: — Słyszysz moja droga, jak ta wydra z drugiego piętra znów wyjel! Doprawdy, można zważować od tego ciągłego doremifasoli i to o którejś z jedenastej w nocy! Chyba powinna zrozumieć, że o tym czasie taknie człowiek trochę spokojnie! (Wchodzi na krzesło i stuka w sufit kijem od szczotki).

— Hej tam, cicho!!!

Akt 4.

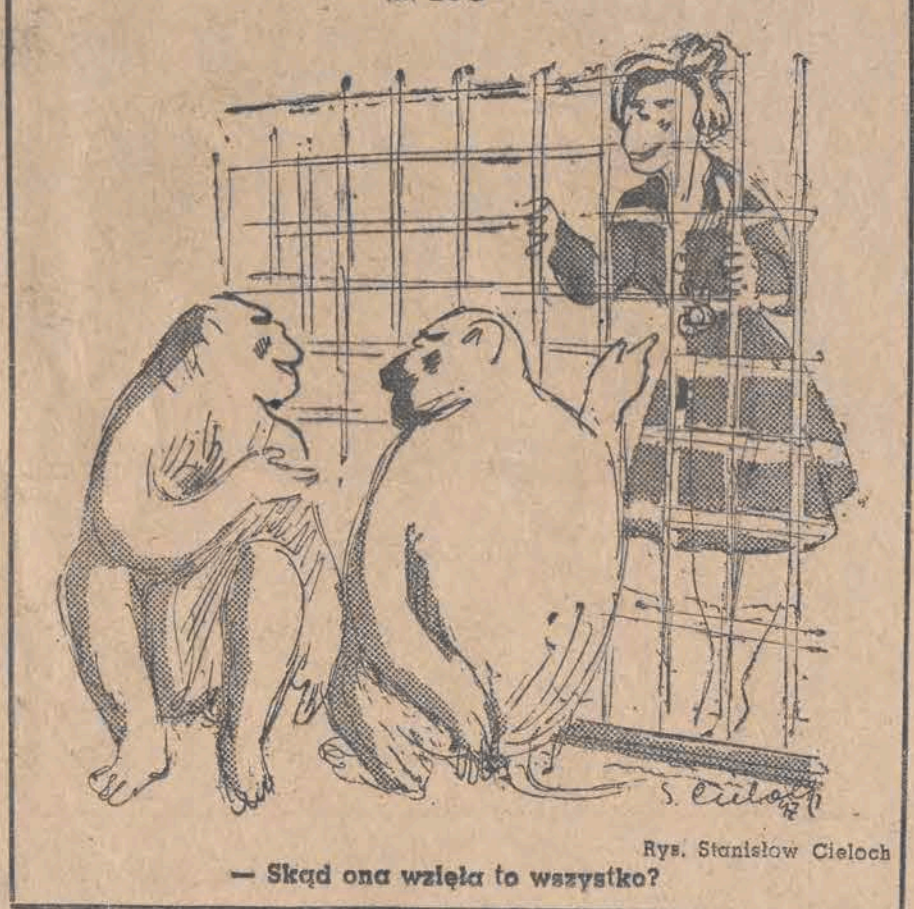
Parter, mieszkanie pana Petlakowskiego. Pan Petlakowski stoi na krześle i krzyczy:

— Hej tam, co to za wrzaski! Człowiek chce trochę wieczorem na puzonie poćwiczyć, a ten bękart drze się jak opętany! (Stuka w sufit kijem od szczotki).

Akt 5

Suterena, mieszkanie...
Bez końca.

W ZOO



— Skąd ona wzięła to wszystko?

Rys. Stanisław Cieloch



RYŚ. STANISŁAW CIELOCH

Ciężkie w-czasy